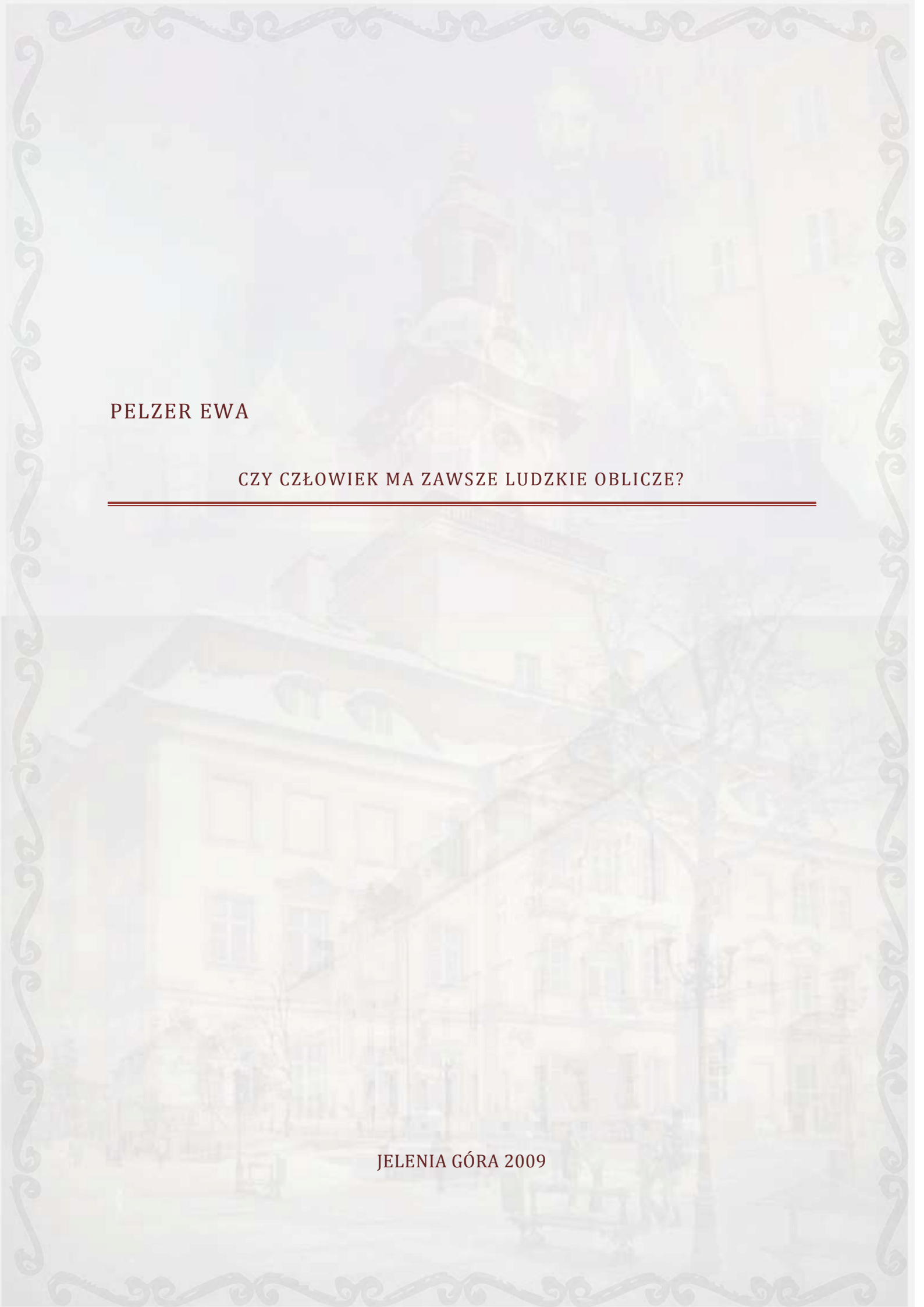




PELZER EWA

CZY CZŁOWIEK MA ZAWSZE LUDZKIE OBLICZE?

JELENIA GÓRA 2009

Wspomnienia z dzieciństwa mojej matki

Z rosnącą ciekawością słuchałam mojej osiemdziesięcioletniej mamy, opowiadającej mi dzieje swojego dzieciństwa, przypadające na okres wojny. Jej wspomnienia budziły moją wyobraźnię, jednak zdawałam sobie sprawę, że nie jestem w stanie tego ogarnąć. Prawda bowiem leży w rzeczywistym świecie, a czasy wojny, tak realne dla mojej matki, niech dla mnie i następnych pokoleń pozostaną tylko historią.

Byłam trzecim dzieckiem z pięciorga, jakie mieli moi rodzice, mówiła mama. Nigdy nie pytałam, kto wymyślił dla mnie to imię – Mieczysława. Mieszkaliśmy na Górnym Śląsku w okolicach Mysłowic.

W 1939 roku, kiedy wybuchła wojna, miałam dziesięć lat. Jak pamiętam, od zawsze byłam dzieckiem ciekawym świata, wszystkiego, co wokół się działo i zawsze byłam pierwsza tam, gdzie niedozwolone. Dlatego też początek wojny był dla mnie rodzajem nieznanego, a jakże obiecującej przygody. Nigdy też nie myślałam, że może mnie coś przykrego spotkać.

Kiedy miałam dwanaście lat, dostałam nakaz przymusowej pracy jako służąca w rodzinie niemieckiej. Nazywali się Anna i Rudolf Karst. Ona była Rumunką, która wyszła za niemieckiego SS-mana. Mieli dwie córki, Ritę, która była w moim wieku i maleńką Trautl. Gospodyni moja była bardzo wymagającą osobą, przekonaną oczywiście o wyższości rasy niemieckiej nad resztą świata.

Z tym też przekonaniem dbała, aby każda minuta mojego pobytu w ich domu była wykorzystana jak najbardziej. Wykonywałam najcięższe prace. Co tydzień pani przygotowywała mi wannę ciężkich, sznurkowych chodników do prania. Przez cały dzień prałam, trąc drobnymi rękami twardy materiał.

Zdarzało się, że przy wieszaniu prania sznur się zerwał i chodniki musiałam wszystko zaczynać od nowa.

Mycie podłóg, okien, pastowanie, pilnowanie małego dziecka przy akompaniamencie stałych obelg ze strony Rity i pani, a przede wszystkim głód przerastały możliwości dwunastoletniego dziecka. Szczególnie wyraźnie pamiętam chwile, w których rodzina Niemców zasiadała do obiadu.

Stół był zastawiony obfitym jedzeniem, a ja siedziałam z malutką Trautl na rękach z boku na krześle w jadalni i dławiąc się własną śliną przyglądałam się, jak moi gospodarze z apetytem zjadają posiłek.

I właśnie głód, nie praca ponad siły dziecka, a głód na zawsze pozostał w mojej pamięci.

Nigdy też nie poprosiłam ich o jedzenie. W rodzinnym domu panowała bieda, mama sama musiała zadbać o piątkę dzieci, ponieważ nasz ojciec został wysłany na roboty do Niemiec. Rano, kiedy wychodziłam z domu, dostawałam kromkę chleba, którą podczas drogi do pracy zjadałam. A tam przez osiem, dziewięć godzin byłam nieustannie zajęta. Kiedy wydawało mi się, że już wszystko zrobiłam, pani „na deser” przynosiła mi koszyk skarpetek do cerowania. Czasem było mi słabo z głodu.

Zdarzyła się chwila, że kiedyś nie wytrzymałam. Pod nieobecność mojej gospodyni ukroiłam sobie cienką kromkę chleba. Niestety nie udało się, pani zauważyła to, wpadła we wściekłość, wyzwała mnie od polskich świń i straszyla, że wyśle na roboty do Niemiec. Bardzo się bałam nie roboty w Niemczech, ale tego, kto pomoże mamie, jak ja wyjadę. Nigdy więcej nie odważyłam się sięgnąć po coś do jedzenia.

A przecież pracowałam u bardzo zamożnych ludzi. Rudolf Karst był nadzorcą w rzeźni, więc w domu stały pełne kosze mięsa i pachnących wędlin. Zdarzyły się takie trzy czy też cztery momenty, kiedy pod nieobecność pani Karst dawał mi kawałek kiełbasy i poganiał, żebym zjadła przed powrotem jego żony do domu. Opiekowałam się maleńką Trautl, którą bardzo pokochałam. W końcu nadszedł czas, kiedy Niemcy zaczęli przygotowywać się do ucieczki. Ja, wtedy czternastoletnia dziewczyna, modliłam się o to, żeby w nawale pakowania Karstowie zapomnieli o małej, którą ja bym sobie zatrzymała.

Chciałam, aby to małe niemieckie dziecko pozostało ze mną. Boże, jak byłam naiwna sądząc, że matka może nawet w chwili największego strachu czy nawale pracy zapomnieć o własnym dziecku. Coraz częściej bombardowano miasto i okolice. Państwo Karst w ogromnym pośpiechu pakowali swój dobytek. To, co zostało, miałam pilnować ja, ich służąca. Wreszcie Karst wyszedł z rodziną, aby ulokować ją w pociągu. Bombardowanie nasilało się z minuty na minutę. Wszyscy wiedzieli, że głównym celem jest zniszczenie mostu łączącego brzegi rzeki Przemszy. Ja też to wiedziałam, a mój dom rodzinny był po drugiej stronie mostu. Wiedziałam, że matka i rodzeństwo się niepokoją.

Spojrzałam jednak gospodarskim okiem na tyle dobra wokół i w wyobraźni widziałam radość rodziny, kiedy część z tego przywiozę do domu. Moi państwo właśnie kupili dla małej Trautl koszykowy wielki wózek. Naładowałam jedzenia, ubrań

i wszystkiego, co się dało, i pchałam ten nowy, piszczący, bo jeszcze nienaoliwiony wózek. Był ciężki, pchałam go z ogromną trudnością, ale jeszcze z większą radością na myśl o tym, jak bardzo rodzina się ucieszy.

Przez most przejechałam w ostatniej chwili. W kilka minut po moim przejściu został zbombardowany. Matka ze łzami w oczach stała w oknie, oczekując na mnie przekonana, że nie zdążyłam przed zbombardowaniem mostu. Kiedy zobaczyła swoje dziecko pchające wielki wózek, wyładowany jedzeniem i ubraniami, łzy radości spływały po jej zmęczonej twarzy. Ja zaś czułam w sobie jakąś dziwną nić współodpowiedzialności, która łączyła mnie z matką. Współodpowiedzialności za młodsze i starsze rodzeństwo.

Miałam szczęście lub też nieszczęście być zawsze tam, gdzie coś się działo. W 1942 roku widziałam, jak Niemcy wyprowadzali Żydów z Getta, a już opustoszałe pilnowali ze znaną powszechnie dokładnością. Wraz z innymi dziećmi dostawałam się do getta tylko sobie znanymi wejściami i stamtąd przynosiłam jedzenie i ubranie pozostawione przez opuszczających getto Żydów.

Nie czułam lęku przed Niemcami, był to rodzaj dziwnej gry, która pociągała dzieci podobne do mnie. Nie myślałam też wcale o tym, że przecież wejście do getta i zabieranie tego, co zostało, jest z punktu widzenia ludzkiego niemoralne.

Pewnego dnia podsłuchiłam na schodach rozmowę sąsiadów, z której wynikało, że współpracują z partyzantami. Wszyscy sąsiedzi dobrze ze sobą żyli i dużo o sobie wiedzieli. Po kilku dniach zobaczyłam Niemców zajeżdżających do tych sąsiadów na rewizję.

Wiedziałam, iż w oddalonym o pięć kilometrów Jęzorze mieszka ich szwagier, który był częstym gościem sąsiadów, więc pomyślałam, że on również może współpracować z partyzantami. Niewiele myśląc wsiadłam na rower i jak mogłam najszybciej, jechałam uprzedzić go o rewizji Niemców. On na wieść o tym zabrał z szuflady jakieś papiery i bosy przez okno uciekł do lasu. Tym sposobem uszedł z życiem. Wracałam na rowerze do domu, kiedy zobaczyłam znanych mi Niemców zajeżdżających do Jęzora. Przez chwilę ogarnął mnie niewypowiedziany strach przed tym, czy skojarzyli moją obecność prawie w tym samym czasie w dwóch miejscach. Ale znów udało się.

Mama zabraniała mi pod karą lania wszelkich wypraw poza podwórko, ze strachu i lęku przed moimi niebezpiecznymi pomysłami.

Chodziłam swoimi drogami, próbując wszystkiego, żeby w domu było „zasobniej”. Mama miała nas pięcioro i była sama. Moj ojciec, jak wspomniałam, został wysłany na roboty do Niemiec, do miasta Koenigstein. Tam pracował w przewozowej spółce węglowej. Bardzo rzadko przyjeżdżał do domu na urlop, zjawiał się tak rzadko, że czasem mylił imiona szybko rosnących dzieci. Mały więc był jego udział w wychowaniu i dbaniu o cztery córki i syna.

W 1945 roku przyszła wiadomość z Niemiec. Na skrawku gazety przeczytaliśmy, że mój ojciec zginął podczas nalotu w Koenigstein. Matka została sama z pięciorgiem dzieci. Jakimś cudem czy też zrządzeniem losu dostała pracę w kuchni i widmo głodu zaczęło się oddalać.

Wojna się skończyła. W 1947 roku, kiedy miałam siedemnaście lat i byłam bez pracy, postanowiłam szukać swego miejsca na Ziemiach Odzyskanych. Zamieszkałam w Piechowicach, gdzie dostałam pracę w hucie „Julia” jako brakarka.

Wiele mieszkań stało pustych po wyjeździe Niemców, więc z lokalem też nie było problemu. Zostało też dużo sprzętów, których Niemcy nie wywieźli, łatwo więc urządziłam pokój z kuchnią przydzielony mi przez gminę. Kiedy zamieszkałam w moim prawdziwym, własnym mieszkaniu, sprowadziłam z Mysłowic do siebie czternastoletniego brata, dla którego tu widziałam lepszą przyszłość. Razem było nam lepiej i różniej. Mieliśmy nieźle zorganizowane życie, nawet mój zdolny muzycznie brat brał lekcje gry na pianinie, bo instrument... też jakoś dziwnie udało się zdobyć. Odkąd pamiętam, dbałam o wszystko jak stary, doświadczony człowiek. Odwaga, spryt, stała walka o poprawienie warunków życia, a przede wszystkim miłość do rodziny, dla której niejednokrotnie narażałam życie, to była moja siła. Siła, która przez resztę życia wciąż procentuje.

W latach siedemdziesiątych odnalazłyśmy z mamą pożółkły skrawek gazety z 1945 roku, w którym przeczytałyśmy raz jeszcze wzmiankę o śmierci mojego Ojca. Ojca, który spoczywał gdzieś tam daleko na obczyźnie. I wtedy właśnie dałam Ci córko ten kawałek gazety, abyś spróbowała odnaleźć grób mojego Ojca, a twojego Dziadka.

Pamiętasz?

Tak mamó! Pamiętam, jak znaleźliśmy na mapie Koenigstein, leżący 22 km od Frankfurtu nad Menem. Postanowiłam, że odnajdę ten grób. Dla Ciebie mamó, dla twojego rodzeństwa, dla mojej Babci, która była jego żoną, matką wcześniej osieroconych

dzieci, a która jeszcze cieszyła się zdrowiem i życiem, wreszcie dla siebie – jego wnuczki, której nigdy nie poznał.

Przyjechałam do pięknego, uzdrowskiego miasteczka Koenigstein i udałam się na miejski, niezwykle zadbane cmentarz. Pierwsza tablica, na której spoczęły moje oczy, to była tablica z nazwiskiem i datą śmierci mojego dziadka. Trudno słowami opisać, co dzieje się z człowiekiem w takiej chwili. To niewysłowna radość ze znalezienia miejsca spoczynku kogoś bliskiego, i jakże ogromna żal, że musiało upłynąć czterdzieści lat, aby ktoś, krew z jego krwi, kość z kości stanął nad Jego mogiłą, zapalił znicz, zmówił modlitwę i zapłakał. Tam też dowiedziałam się, że w lutym 1945 roku spadła jedna, jedyna bomba na barak, w którym mieszkali Polacy będący na robotach u pana Wolfa w Koenigstein. Dwóch z nich zginęło na miejscu, dziadek zaś walczył o życie jeszcze pół roku po wojnie, leżąc w tamtejszym szpitalu. Zmarł w październiku 1945 roku, a więc żył jeszcze pół roku po tym, kiedy przyszła wzmianka w gazecie o jego śmierci.

Słuchałam mojej mamy opowiadającej dzieje swojego dzieciństwa, przypadającego na czas wojny, kiedy to dzieci z dnia na dzień przechodziły ogromną transformację i dojrzewały w przyspieszonym tempie.

Ale co wydaje się irracjonalne, przebywanie w niebezpiecznych miejscach, zdobywanie pożywienia niemal w każdy możliwy sposób wyzwałały w tych dzieciach adrenalinę, która czyniła człowieka odważnym i silnym, a czasem nawet odbierała racjonalne myślenie. Dlatego też niektóre z tych dzieci nie mogły traktować wojny inaczej, jak tylko niebezpieczną, pełną zwrotów akcji przygodę.